

Najpierw pojawił się pojedynczy promień światła. Wylewał się obficie spomiędzy dwóch górskich szczytów i wślizgiwał się ognistym słupem na leżącą u ich stóp równinę. Pod jego ciepłym dotykiem rozświećlała się tysiącami rozmytych, srebrnych i złotych punkcików. Potem, jak gdyby rozochocony łatwością z jaką rozdzierał zalegający płaszczyznę cień, rozproszył się, padając na wznoszące się wśród wzgórków rozliczne budowle, które zapłonęły barwą gorącego piasku.

Przyozdobione były strzelistymi wieżyczkami o walcowatym kształcie. Nie były one grubsze niż pień wieloletniego, dumnego buka. Przypominały bardziej ozdobne słupy niż baszty z prawdziwego zdarzenia, miały dodać konstrukcjom majestatu a także zaświadczyć o bogactwie panów tych siedzib. Nie pomieściły by w swych smukłych szczytach więcej niż jednego człowieka. Przed laty pokryto je obficie karmazynowym tynkiem, ten jednak z czasem zbladł a miejscami nawet odpadł odsłaniając szarawą zaprawę.

Biegące w cieniu tych smukłych strażników uliczki, zawieszone aż po dachy tkaninami, parawanami i baldachimami, zaiskrzyły się wszystkimi kolorami tęczy. Wąski, niewysoki mur o prostych, kwadratowych blankach oddzielał to zdumiewające osiedle od bezdroży pustkowia.

Kontynuując swój niepowstrzymany marsz na zachód, świetlisty promień wyzwolił się spod przytłaczającej masy gór, i jakby osiągając dumną pełnię swego kształtu wznosił się na nieboskłon pod postacią ognistego kręgu, wydobywając czysty błękit ze stropów świata i spychając mrok ku jego korzeniom.

Równina ożyła. To co wydawało się samotnym grodem, oazą w ciemności odludzia, okazało się jedynie punktem centralnym ogromnego kompleksu. Rozlewał się on w formie okręgów u stóp gór, niby spoczywająca u bram wrogiego grodu armia, czekająca w ciszy na sygnały pobudki. Nie było to jedno z miast, do których przywykły oczy i myśli ludzkie ni elfie, miasta jakich wiele wznosił na południu wielki wódz z rodu Danwiga, miasta w jakich zamożny lud Ofiru adoruje swą tysiącletnią cywilizację.

Z szarości traw, okalających mury miejskie, wyłoniły się gromady prostych konstrukcji wszelkiej maści i kształtu. Szyte z białych płócien i przyozdobione obficie wstążkami tysiąca kolorów namioty, w których skupiska raz po raz wbijały się wąskimi krawędziami długie, niskie chaty, zbite koślawo z niewielkich, powykrzywianych deseczek o barwie wyschniętego błota. Pogrupowane w zbite kręgi, jedno przy drugim, stały strzeliste tipi, których wyblakłe ścianki zdobiły groźne, klanowe symbole – przedziwne bestie, mimo iż wyrażone prostą barwioną kreską, przywodziły na myśl najciemniejsze głębie ludzkiego koszmaru. Postacie myśliwych i wojowników które, jeśli dłużej się im przypatrywać, zdawały się wyzute z człowieczeństwa, jakby stanowiły czyste istoty swoich dziedzin – pradawne aspekty, większe od człowieka.

Nad całością, niczym pałace, górowały dumne jurty wszelkiego wzoru i kształtu. Były między nimi szare jurty wojłokowe, których nie dostrzegłoby w stepie niewprawne oko a ich dzikim mieszkańcom owcze skóry służyły tako za ubiór jak i posłanie. Były takie, których powłoki nakryto mistrzowsko zdobionymi białymi płachtami, zaś wejścia zastawiono rzeźbionymi drzwiczkami z świerkowego drewna, zwożonego z najdalszych kresów państwa. Nie tylko wejścia wykonano w tych siedzibach ze szlachetniejszych surowców. Wielu zamożnych nie chciało na dawny wzór czuwać z uszami przy ziemi, ale wznosiło sobie łóża by spoczywać na wywyższeniu, niektórzy zaś sprowadzali nawet stoły i krzesła by przyjmować gości na południową modłę. Wielu głosiło, jak wielką zniewagą musi być dla ducha opiekuńczego, gdy się z jego drzew czyni przedmioty których jedynym celem jest wgniatanie ich zadkiem w podłoże. W końcu były takie, które jedynie z kształtu i wewnętrznych rozplanowań przypominały jurty, jednak ułożone były z gliny i innych podlejszych materiałów, tak, że po każdej zimie budować je trzeba od nowa, a przez pozostałą część roku mieszkaniowiec uwiązany jest do miejsca jej wzniesienia. Każdy skrawek wolnej przestrzeni pomiędzy tymi siedliszczami zavalony był wozami i wózkami, prowizorycznymi budami zbitymi niedbale z drewnianych odpadów, prostymi wiatami z postrzępionych materiałowych resztek, górami tłustej zwierzęcej sierści i suszonych

odchodów, na których ucztowały ogromne insekty. Nie było miejsca w którym nie walałyby się wszechobecne strzępki kolorowych tkanin i sznurków, nie bielilyby się strzaskane zwierzęce kości wdeptane w brązową, pylastą glebę pokrytą gęsto świeżym brykietem bydłęcego łąjna. Panował w tym przedziwnym osiedlu niespotykany nieporządek - wszelkie konstrukcje rozłożone były chaotycznie, jakby w wielkim pośpiechu, czasem pojedynczo, niezależnie od sąsiadów, czasem tworząc coś na kształt odrębnych obozów, okalanych prowizorycznymi palisadami bądź kręgami złączonych wozów, w obrębie których, wokół wielkiego wspólnego paleniska cisnęły się bliźniacze jurty.

Próbę uporządkowania tej bezkształtnej masy w kręgi i sektory podejmowały nitki niedbale zbitych palisad, szczerzących się gdzieniegdzie ze szczytów niewysokich nagich wałów w kolorze tego samego co podłoże, niemiłego odcienia pylastego brązu. Przecinały je szerokie pasma głównych alei, prowadzących ku kamiennemu sercu osiedla. Całość dekorowały wzniesione w regularnych odstępach przysadziste strażnice, usadzone na czterech trzeszczących pniach z wyraźnie nietutejszego gatunku drzewa. Ich szczyty osłonięte były płatami wysuszonej skóry, przywodząc swym kształtem na myśl korony dawnych barbarzyńskich wodzów, którzy toczyli o te ziemie bój w bezimiennych czasach, gdy człowiek był jeszcze obcy. Był piąty miesiąc roku zająca wg. lokalnego kalendarza.

Minął świt.

Narastająca na całym ciele wilgoć stawała się coraz bardziej irytująca. Telos zrzucił z siebie gruby wełniany płaszcz w kolorze purpury, który tak dobrze chronił go podczas nocy i przerzucił go niedbale przez siodło. Przysłonił oczy ręką. Poczuł wyraźną ulgę gdy z widoku chociaż na chwilę zniknęła bezlitosna płomienna tarcza, ale zaraz zaklął pod nosem. Teraz wyraźnie dostrzegł, że w międzyczasie te kilka odległych, białych punkcików przerodziło się w miasto. Miasto? Zabity dechami zbitek namiotów, pustynny zameczek otoczony przez śmietnisko. Samarkanda, "Kamienna"! Znowu zaklął i spojrzał ponad osobliwym osiedlem. Góry. Też "Kamienne". Nagie skaliste szczyty i rozpadliny, pozbawione śladów jakiegokolwiek formy życia. Zaczął szukać wzrokiem jakiejś rzeki, pewno "Kamiennej". Ale w okolicy nie było rzek. Ani jezior. Ani nawet drzew. Była tylko ta wielobarwna plama, rozsmarowana na stoku, ciągnąca się aż do grani i zapewne za jej załomem, po drugiej stronie góry również.

- To jest ich stolica...? – mruknął Lormicjan, jego przyboczny i zaufany sługa. Telos wyrwany z własnych myśli spojrzał na niego nieprzytomnie.

- Widzisz tu jakąś inną? – mruknął, pokonując nieprzyjemną suchość w ustach. Pociągnął łyk z baniaka, w który zaopatrzone go po drodze. Poczuł jak gorący, pozbawiony smaku płyn przelewa mu się przez gardło nie dając ulgi. Potem chwilę bawił się skrzypiąc w zębach ziarenkami piasku, jakie po sobie pozostawił.

- Żałosne, to jakaś zbieranina namiotów pomieszana ze śmietnikiem – w tym czasie Lormicjan werbalizował półgłosem swoje, zupełnie zbieżne z Telosowymi, przemyślenia – I to ma być lud, który zagraża naszym granicom, pastuchy...

- Dość – poseł uciszył go, wskazując ruchem głowy na poprzedzającego ich o kilka metrów samnijskiego przewodnika, który świetnie mówił w języku Ofiru. Lormicjan zreflektował się i zamilkł.

Zorientowawszy się, że stoją w miejscu, z dziwnym poczuciem nierealności, Telos wydał kompanom znak do dalszej jazdy.

Mijali wszechobecne od kilku mil stada najróżniejszego bydła. Na horyzoncie wieczne galopowały koślawe i szkaradne - ale niezwykle wytrzymałe i zadziwiająco samowystarczalne samnijskie bachmaty. Polany białały od kóz i owiec, między którymi człapały wynędzniałe psiska pasterskie o długiej, szarej, sfilcowanej sierści. Gdzieniegdzie za grubszymi parkanami wolno przeżuwały jaki imponującej postury - przypominały z lekka owłosioną odmianę bydła jakie

hodowano w ojczyźnie jeźdźców. Rzadziej mijali pasące się w bezruchu, na stojąco lub leżąc, dwugarbne wielbłądy, spokrewnione z jednogarbnymi dromaderami z wielkiej pustyni Asura Makan, które towarzysze jeźdźca wytykali palcami szepcząc coś z entuzjazmem. W oddali dostrzegali też pierwszych samnijczyków, uwijających się z arkanami między zwierzyńcem, albo ciągnących za sobą po stepie długie rulony świeżego wołoku.

Zbliżyli się do przedmieścia, naznaczonego licznymi namiotami i żurawiami, w których to jeździec rozpoznał studnie pitnej wody i źródła solanek, które w okolicy wysuszano tworząc bloki solne, eksportowane do dalekich krain. Tutaj też opadła ich liczna gromada samnijskich dzieci, wyciągając w ich stronę ręce ściskające zachęcająco popluskujące buklaki i mieszki pokryte białym osadem. Było coś w tych dzieciach, co się nie spodobało jeźdźcowi. Nie uśmiechały się, miał wrażenie że wpatruje się w niego wyczekująco wiele wariantów tej samej twarzy, twarzy obcej, zaciętej i dzikiej. Lekko mocniej wbił pięty w bok rumaka i ruszył w stronę wjazdu do pierwszego kręgu Samarkandy. Stała tu wysoka, świeżo wybudowana furta, zbita z zaskakującą w tej okolicy dokładnością z takich samych jak wszystko wokół, krzywych desek błotnistej barwy. Przez furtę przeciskały się w obie strony niezliczone rzesze samnijczyków, prowadząc z sobą pojedyncze zwierzęta, kosze z żywnością, złożone namioty, siodła, narzędzia, płachty wołoku, łuki myśliwskie, bryły soli, bele kolorowych materiałów, ceramiczne naczynia i upolowaną zwierzynę, gnając przed sobą stada. Ich twarzom uważnie przypatrywali się ukryci w cieniu furtowych drzwi odziani w białe chałaty gwardziści.

Na widok jeźdźcy i jego orszaku tłum niechętnie rozstąpił się z głuchym pomrukiem, po czym setki uszu zaczęło nasłuchiwać rozpoczynającej się właśnie rozmowy.

- Telos, poseł wielkiego oligoi świętego Ofiru. - pokłonił się w siodle – przybyliśmy z pozdrowieniami dla kniazia i... -

Gwardzista, do którego mówił uniósł dłoń i niechętnym ruchem głowy wskazał poselstwu furtę, niewyraźnie powiedział coś do ich przewodnika.

Telos był zadowolony. Zgodnie z naciskiem arethyńczyków miał nie tytułować Uteryśa kaganem, gdyż w ich oczach na zawsze pozostanie on tylko stepowym bandytą śpiącym na płachcie skóry. Niezależnie od tego, jak rozległe byłoby jego państwo. Bał się więc trochę, że już przy furcie dostanie z tego powodu strzałą między oczy. Tak się jednak nie stało i Telos był dobrej myśli.

Flankowani przez gwardię, ruszyli powoli w po leciutkim stoku w górę, ku rysującym się w oddali kamiennym zabudowaniom, które, jak sądził, musiały być centralną cytadelą miasta. Weszli w wąziutkie uliczki, przez które wędrówka właściwie sprowadzała się do pilnowania, by nie zahaczyć o któreś z naroży namiotów, nie zahaczyć o porozkładane bezpośrednio na ulicy stragany czy nie uderzyć głową o przeciągnięte nisko rozmaite sznurki.

W pewnym momencie minęli coś, co przypominało Telosowi place targowe jakie rozciągały się w każdym większym ofirskim mieście. Ten jednakże był inny, tak mu się w każdym razie zdawało. Za stołami w kolorze brązowego podłoża, w pył i kurz, stały sklecone z kości zwierzęcych i drobnych, szarych kawałków drewna, klatki. Były wypełnione ludźmi. Między klatkami przechodziły tłumy samnijczyków ale jeźdźcom rzuciły się w oczy trzy bogato odziane samnijskie damy, które przy pomocy jedwabnych wachlarzy odpychały od swych nosów odór tłumu. Przechadzające się podeszły do jednej z klatek i natychmiast jakby spod ziemi wyskoczył do nich skarłowaciały według południowych standardów mężczyzna. Wymachując rękami prowadził z nimi krótką rozmowę, podczas której usilnie starał się wskazać im to tę, to inną postać w klatce. Od czasu do czasu otwierał usta w chwili zastanowienia, ukazując obślinioną gębę pełną czarnych, lekko zaostzonych ząbków. W pewnym momencie samnijki wskazały na kulającą się w rogu klatki kobietę. Z ubiory wyglądała Telosowi na teralkę, w każdym razie na pewno pochodziła z południa, gdyż jej włosy były w kolorze letniego Słońca. Trzymała coś w swoich ramionach i delikatnie tuliła jakby chcąc oddzielić zawiniątko od rumoru targowiska. Karzeł wyrwał jej tę szmatkę i rozwinął ją ukazując samnijkom nagie, ruszające

w panice kończynami dziecko. Te aż podskoczyły z ekscytacji widząc jasne włosy dziecięcia i po szybkiej konsultacji wręczyły karłowi okazałej wielkości mieszek. Telos odwrócił wzrok. Poczuł nagle jakby odrazę do samego siebie, wywołaną tym że zgłosił się by posłować do takich dzikusów.

Tak głęboko zapadł się w swoje myśli, że nawet nie zauważył wbitego w niego wzroku ich przewodnika. Telosowi nie chciało się zapamiętywać imienia koczownika, nie było takiej potrzeby. Teraz Samnijczyk zauważył poruszenie na twarzy posła, gdy zainteresował się przyczyną, dla której Telos został w tyle za innymi.

- Panie? – zagadnął, gdy wierzchowiec Telosa zrównał się z jego własnym – Czy wszystko w porządku? – podążył wzrokiem za spojrzeniem Ofirczyka – Miejsce handlu jasyrem tak cię poruszyło, panie? Przecież w waszych miastach także handluje się niewolnikami...

Telos gwałtownie szarpnął głową i wbił w przewodnika pełen nienawiści i oburzenia wzrok, nad którym przez chwilę nie zapanował. W naszych miastach? Cholerny barbarzyńco! Tak, w naszych miastach handluje się niewolnikami, ale to są ludzie, którzy zasłużyli na swój los, sprzedani dłużnicy, wojenni jeńcy, dzikusy tacy jak ty, a nie... Są odwieczne prawa świętego Ofiru, skodyfikowane zanim wam udało się opanować filcowanie wełny. Są określone warunki, są zasady, ograniczenia, przepisy... Jak śmiesz...

- Pewnie kupujący są u was w złoto odziani – uśmiechnął się Samnijczyk – co kupowanym chyba nie robi wielkiej różnicy.

Telos wziął głęboki wdech, uspokajając się i wraz z panowaniem nad sobą odzyskując kamienną twarz.

- Jedźmy – skwitował, mijając przewodnika ruszył dalej wąską uliczką.

Po chwili dotarli do grani, na której jeżył się wąskimi blankami kamienny mur. Prawdziwy klejnot samnijskiej architektury, perła ukryta w muszli pełnej namiotów, sarknął Telos w myśli. To muszą być zabudowania pałacowe Samarkandy. Wreszcie.

Strażnicy przy bramie przepuścili ich na wezwanie ich przewodnika, który zapewne powtórzył to, co mu powiedział strażnik przy poprzedniej furcie.

Weszli na dziedziniec. Telos wzrokiem roztaczające się przed nim zabudowania, pilnując się, aby na jego twarzy nie odbiła się nawet mała część pogardy, jaką odczuwał.

Zabudowania pałacowe, jak sądził, stanowiło pięć czy sześć wielkich kwadratowych budowli z cegły w kolorze piasku, przyozdobionych czerwonymi minaretami. Tylko to, co wyglądało na pałac kniaziowski zbudowane było na planie prostokąta, a zatem było szersze niż pozostałe budynki, swoim frontem miało chyba przytłoczyć przybywającego. Górzące budowle przysłaniały Słońce i rzucały długi cień, który dawał wytchnienie wszystkim na podwórzu. Podwórzu, które wypełnione było po brzegi odzianymi w białe szaty jeźdźcami na białych rumakach. Jeździli oni po okręgu i strzelali ze swych refleksyjnych łuków w umieszczony na wysokim kiju wór, będący pośrodku ich toru.

Ku zdziwieniu Telosa przewodnik nie skręcił w kierunku owego dużego budynku, a w kierunku muru, który po przeciwległej stronie placu zamykał ów kompleks budynków. W połowie muru widniała drewniana brama, malowana błękitem i okuwana złotą blachą, jej barwny łamany ostrołuk wyróżniał się na tle szarego muru jak klejnot wetknięty w piasek.

Gdy podeszli do bramy, sporej wielkości wierzeje zostały otwarte.

Oczom Ofirczyka ukazał się obszerny taras, wysunięty ponad znajdującą się po drugiej stronie grani doliną. Z tarasu prowadziła w dół wyłożona białym kamieniem droga, wijąca się serpentynami wyraźnie wśród niskiej skalnej roślinności, której obecność po tej stronie góry uzasadniała rzeka. Jej lśniąca w słońcu wstęga połyskiwała metalicznie, rażąc oczy, a nad jej brzegami ciemniały zielone pasma zarośli i niskich gajów. Otaczały one rozłożone za rzeką zabudowania, nawet z tej odległości widać było ich zdobne detale. Pysniły się tam kryte złotą blachą kopuły, składane jedna do drugiej na kształt rozłożonego na pustyni kwiatu, otoczone wieńcem wieżyczek i szerokich tarasów, przetykane niewielkimi, wysuniętymi bastionami, które wprawne oko mogło szybko zakwalifikować jako

potencjalnie obronne. Wszystkie budynki były zdobione milionem drobnych wzorów, które tylko po części można było z daleka dostrzec, całość była malowana w biel i błękit, uzupełniana złotem i miedzią lśniła jasnością wśród otaczającej ją zieleni ogrodów i niskich sadów pomarańczowych.

Zdezorientowany Telos zatrzymał się, przez chwilę zszokowany pięknem widoku, którego się tu nie spodziewał. Powiodł wzrokiem po wzgórzach otaczających dolinę i dostrzegł schodzące po stokach ku pałacom ścieżki, z których każda wychodziła z jednej z zębatych warowni, usytuowanych na ich szczytach. Takich, jak ta, na progu której stał.

- To jest pałac Samarkandy – uśmiechnął się samnijski przewodnik ze słyszalną dumą w głosie.

- A to... ? – zapytał niepewnie Ofirczyk, ruchem głowy pokazując mur i zabudowanie.

- To jednej z ordonów, warowni otaczających stolicę. Jest tu tak tłoczno, bo tędy prowadzi szlak z południa.

Telos zerknął za siebie i ujrzał teraz, że flankujący go przed chwilą gwardziści utworzyli rząd w bramie wjazdowej odcinając mu drogę ucieczki. Nagle, jakby spod ziemi wyrósł niewielki człowieczek, który złapał jego konia za uzdę i uśmiechnął się, ukazując piękne białe zęby.

- Witaj, południowcze – powiedział w tradycyjnym ofirskim języku, dodając jednak do słów niewłaściwe końcówki i wypowiadając całość z dziwnym akcentem – Wielki Kagan, pan panów i wódz wodzów, namaszczonego przez Wielkiego Ducha władca całego świata leżącego pod błękitnym niebem, mówi, że wasze głowy nie zawisną na jego murze ale zostaną rzucone świniom. Tako rzekł Uterys, wielki kagan! - i uśmiechnął się ponownie.

Telos poczuł ucisk w klatce piersiowej. Pomyślał, że od tego co teraz powie, zależy jego życie. Wykrztusił:

- Chwała na wieki panu błękitnego nieba – i ośmielony tym że nadal żyje, zaczął mówić coraz pewniej – przybywam z odległych miast by przynieść nie włócznie, lecz złoto. Jesteśmy gotowi zapłacić, aby być pewnymi, że wobec wybuchu nowej wojny na południu, północ Świętego Ofiru pozostaje bezpieczna. Ja... - chudy samnijszyk uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokiwał głową, uniósł palec i wskazał Telosowi by ten się przybliżył.

Telos niepewnie pochylił się w siodle, zanim zdążył zareagować, Samnijszyk umykającym oczom ruchem złapał go za ubranie i pociągnął w dół. Poseł runął z konia na głowę, czystym łutem szczęścia zdążywszy wyszarpnąć stopę ze strzemienia zanim spłoszony koń szarpnął się i odskoczył. Płaszcz, który miał przewieszony przez siodło, zaplątał się o jego nogę, ale zamortyzował upadek, dzięki czemu wyrżnięcie o kamienną powierzchnię placu mniej bolało.

Poderwany nagłym przypływem adrenaliny Telos wypłatał się z płaszcza i zdezorientowanym wzrokiem powiodł dookoła, dostrzegając ciała przeszytych strzałami towarzyszy. Usłyszał tętent kopyt od strony bramy, a wszyscy Samnijszykowie obecni na placu nagle zsiadli z koni i padli na twarze tam, gdzie stali.

Uterys, wódz wodzów i pan panów wjechał konno na taras nad doliną i przez otwartą bramę na dziedziniec ordonu. Po jego pociemniałej od wiatrów i pociętej bliznami twarzy trudno było rozeznąć wiek, ale z pewnością jego oczy widziały już dobrze pięćdziesiąt zim. Sposób, w jaki trzymał się w siodle, wskazywał jednak, że sprawnością fizyczną ten człowiek znacznie przewyższa młodszych od siebie wojowników. Niemal nie zatrzymując wierzchowca miękko zeskoczył na ziemię tuż przed nosem Telosa i powiodł wzrokiem po placu. Z tego wzroku znawcy ludzkiej natury mogliby odczytać przyczyny, dlaczego ten człowiek budził w swoich ludziach jednocześnie absolutnie, graniczące z fanatyzmem oddanie oraz paniczny, śmiertelny strach. We wzroku kagana kumulowała się żelazna wola, nieposkromiona odwaga i bezwzględność.

Telos próbował przełknąć ślinę, ale zaciśnięte gardło nie pozwalało. Uterys, przekrzywiając lekko głowę jak drapieżny ptak, wbił w niego wzrok.

- Będiesz walczył czy zdechniesz w strachu? – zapytał w najczystszy języku Ofiru, niskim, łudząco miękkim głosem. To próba, pomyślał poseł, tak, to na pewno próba odwagi czy coś, żeby sprawdzić, czy jestem godzien z nim rozmawiać. Tak, tylko to przejść, nie dać się zabić przy pierwszym ciosie. Jego wymowny wzrok musiał paść na cudnej roboty bułatową szablę, zawieszoną na zdobionych srebrne rapciach przy pasie władcy i wystający zza tegoż pasa puginał. Uterys uniósł brwi w pobłażaniu i rozłożył szeroko nieuzbrojone ręce na znak, że nie zamierza walczyć żelazem. Ofirczyk drżącymi rękami sięgnął po zawieszoną u pasa spathe, słysząc skrzypienie napinanych cięciw, które odebrał jako poganie.

Jak każdy szlachcic w Ofirze, potrafił posługiwać się bronią. Za młodu odebrał lekcje od najlepszych szermierzy, potem służył w arethyńskiej mora, kilka razy nawet walcząc na murach. Ale w tej chwili wszystkie zapamiętane techniki zatopiły się całkowicie w umyśle w jedno przemożne uczucie. Paniki. Zadał tylko jeden zamaszysty cios.

Kagan lekkim obrotem barku odsunął się spod ostrza, spektakularnie i lekceważąco zrobił szybki krok do przodu, prawą ręką chwytając nadgarstek Ofirczyka, lewą podbijając mu łokieć, poprawił krótkim kopniakiem w ścięgna pod kolanem.

Krótki miecz z brzdękiem potoczył się po kamieniach, Telos wrzasnął i poleciał na kolana. Chciał się poderwać natychmiast, ale nagle poczuł jakiś opór w gardle. Coś błysnęło w ręce Samnijczyka, coś jakby nóż, sięgnął po miecz ale nie mógł ruszyć rękoma, coś ciepłego w jego gardle nie pozwalało mu oddychać, próbował się poruszyć ale poczuł że świat wiruje i nagle szkarłat wypełnił jego oczy, umysł, jaźń, a potem szkarłat wypełnił cały świat, zastygł, ściemniał i stał się nieprzeniknionym, nieskończonym mrokiem.

Uterys nawet nie odwrócił się, by się upewnić, że ze strony posła nie grozi mu niebezpieczeństwo, a strzała którą posłał pokonanemu jeden z jego ludzi, trafiła do celu. Obu rzeczy był równie pewien. Stojąc tyłem do wroga uniósł ręce w ostentacyjnym geście triumfu, jakby właśnie pokonał wszystkich kratistosów Ofiru, przez chwilę czekając aż przebrzmi dedykowany mu okrzyk jego wojowników. Potem podbił stopą ofirski miecz, podniósł i przyjrzał się z satysfakcją zdobionej głowicy. Dopiero wtedy się odwrócił i niemal nie celując, z zamachu oburącz wyprowadził cios tak szybki, że ostrze aż jęknęło, przecinając powietrze. Głowa ofirskiego posła głucho poleciała na kamienny bruk.

Następnie spojrzał dziko na swoich odzianych w biel gwardzistów i powoli, nie spuszczać z nich wzroku, wskazał czubkiem zakrwawionego ostrza w znienawidzonym i pożądanym jednocześnie przez wszystkich jego rodaków kierunku. Na południe.

Mongke, jag-bej plemienia Kyzył-tum starał się skupić na liniach tekstu zapisanego w obcym języku i alfabecie. Biegle znał obydwa, lecz w sali panowało powszechne poruszenie a jemu, wraz z wiekiem, coraz trudniej było skupić uwagę. Zwłaszcza, że toczące się w tle rozmowy miały za swój obiekt sprawy znacznie ważniejsze, niż ten zwitek papieru. Otwierało go pozdrowienie od niejakiego Theo ev. Tynagirona – człowiek ten był Mongkemu dobrze znany, nie tylko jako kratistos Messyny, lecz przede wszystkim jako ten, który udaremnił próbę błyskawicznego zawarcia sojuszu między Kaganatem a Itharos, paręnaście ładnych lat temu.

Cóż, swoją pozycję Mongke zawdzięczał również temu, że w owym czasie doprowadził do tego, iż mimo przeszkód porozumienie jednak zawarto, choć może nie z tak natychmiastowym skutkiem, jaki był pierwotnie przewidziany. Po pozdrowieniach, ów Tynagiron powiadał Kniżia Północy o swojej wielkiej kampanii przeciwko zdrajcom, zakończonej pełnym sukcesem i odzyskaniem zagarniętej przez nich ofirskiej ziemi. Potem ogłaszał, że po latach niepokojów, Ofir ponownie wkracza w erę dobrobytu i pokoju, oraz że jest gotowy przekazać w ręce samnijczyków podarunek – liczony w szczerym złocie – ażeby i oni wzięli udział w tym dziele, gwarantując Ofirowi przyjaźń Wielkiego Kniżia oraz jego ludu. Mongke mimowolnie zatrzymywał się za każdym razem,

gdy odczytywał słowo „kniaź”. Nie było tu mowy o pomyłce, język ofiru czynił różnicę między tymi tytułami. Zatem ofirczycy przychodzili oferując im złoto, nie uznając jednak nawet obecnego tytułu ich władcy?

Czy następnym razem ich miasta trzeba będzie zrównać z ziemią tak, by nie pozostał z nich ani jeden kamień, aby w końcu dostrzegli, że świat wokół nich się zmienił? Włożył list z powrotem do zdobionej, skórzanej tuby, w której przywieźli go posłowie. I zamyślił się, zapatrzony w sklepienie sali. Wielu rzeczy spośród tych, które ostatnio mają miejsce, nie był w stanie ogarnąć jego pragmatyczny umysł. Szamani od zawsze dostrzegali sprawy obce dla tych, którzy nie dzielili ich daru. Lecz ostatnio głosili wieści, które wywoływały cień wątpliwości nawet w nim, od dziecka uczonym bezgranicznego zaufania dla ich mądrości. Oto, daleko na południu, za krajem Ofiru, za domeną Przybyłej, obudził się Przyjaciel. I przypomniał sobie swe imię.

Qarnachasayosyran.

A teraz idzie on ku północy, nie znając sprzeciwu, nie napotykając godnego przeciwnika. Szamani usłyszeli jego głos i zażądali, byśmy odpowiedzieli na wezwanie. I Kagan, w swej mądrości, odpowiedział. Śmierć tych ofirczyków, których krew chłopcy stajenni zmywali teraz z dziedzińca, była tylko pierwszą spośród wielu konsekwencji tej decyzji. Nie bez powodu nie puszczono na południe ani jednego ocalałego – rodacy mają czekać w niepewności na wieści o ich losie. A gdy w końcu zrozumieją, że żadna wieść nie nadejdzie, gdy w końcu domyślą się prawdy... podżegacze z Arethyny znów uzyskają pełen posłuch. I zalęknione spojrzenie Ofiru skieruje się ku północy, w milczeniu wyczekując znajomego dźwięku tysięcy kopyt.

To wystarczy, by byli ślepi, głusi i obojętni, gdy za ich zachodnią granicą rozpęta się piekło.

A gdy zrozumieją, że to nie na nich pójdzie nasze uderzenie, będzie już za późno.

Baabur z plemienia Yelgerin, nie był specjalnie wniebowzięty. Od dzieciństwa słyszał o wyprawach do Ofiru, gdzie dachy kryte są czystym złotem, każdy mieszkaniec ma w piwnicy co najmniej jedną belę kolorowego jedwabiu a ichniejsze konie są tak rozleniwione klimatem, że żaden z tych ich niby-jeźdźców nie jest w stanie dopędzić rabusia, choćby ten wioził w siodle jego żonę i połowę dobytku na plecach. A i na łupiestwo w Terali niewielu narzekało. Zdarzały się pułapki, tak i czasem ktoś nie wracał ale ich kobiety miały włosy w kolorze słońca i oczy w kolorze nieba, a chaty kryte strzechą, zawsze świetnie się paliły, więc było warto. Tylko że jego arban, ktoś mądry skierował do Tryntu. No i zaczęła się zabawa. Od paru lat Kagan zakazał oficjalnych wjazdów do Terali, bo tamtejsi wojownicy pomagali tłuc Wergundów. Wreszcie pojawił się tam ponoć jakiś bej, który swoich rozlazłych pobratymców zmobilizował do walki, przez co też i wszelakie wyprawy w tym kierunku siłą rzeczy stały się trudniejsze. Oczywiście, jak była zima i zebrało się paru wygłodniałych chłopaków, spaliło kilka chat i zwinęło tym mięczakom trochę zapasów i jakieś kobitki, żeby było cieplej w posłaniu, to nikt za to nie ścigał, Samarkanda przemykała oko. Ale do Tryntu szedł Minghun z prawdziwego zdarzenia, nie było opcji żeby naruszał sojusznicze granice. Więc puścili go przez Góry Silber. Poszły ploty, że tu lepiej nie rabować, bo nie za bardzo jest co a bliżej szczytów siedzą jacyś szamani, nad którymi nikt nie ma kontroli i trudno powiedzieć, skąd tu się właściwie wzięli, grunt że są i mogą być niebezpieczni. Jechali jakimś szlakiem kupieckim, zbudowanym tu przez Ligę jakoś tak jeszcze za czasów kniazia Turina, czyli dawno. Tej Lidze to musi się coś ostatnio nie powodzić, bo droga w okropnym stanie. Dobrze, że to samnijczycy, nie jacyś zapyziali daramończycy, których konie niby rzeczywiście dobrze wyglądają, ale jak przychodzi co do czego to delikatne jak i każde inne. Potem ma być podobno lepiej, bo równinne Przedgórze, no i mieli w arbanie jakiegoś weterana, co to tłukł się tu podczas Wielkiej Wojny i będzie wiedział, gdzie jechać, żeby łup był srogi.

No, przy czym potem te ich przekłete Wysokie Ziemie, tam to żadnego samnijczyka nigdy jeszcze nie było, nawet tych porąbanych Tashunko. No cóż, ale Baabur nie miał tu nic do gadania. Będzie, co będzie, Wielki Duch z nimi!

Atmosfera w obozie oblegających była daleka od „bratania się”. Tak to już właśnie jest z tymi zapołudniowcami... W walce twarde z nich sztuki, mieć takiego u boku znaczyło być pewnym, że nie zawiedzie. Tylko potem, walka się kończyła, kolejnym zwycięstwem oczywiście, no i chciałoby się wyciągnąć bukłak kumysu i schlać się tak, żeby spacerować po gałęziach Drzewa w te i we wte, to był pikuś. No i tu zaczynały się problemy.

Oni byli obcy.

Myśleli inaczej, choć dość sprawnie, trzeba było im przyznać, mówili we wspólnym. Niewiele było tematów, które można by podjąć w mieszanym towarzystwie. Nawet opluwanie wroga niezbyt podchwytliwi, chociaż przecież sami zaproponowali nam wspólny najazd na jego ziemię.

Do tego byli wyjątkowo wyczuleni na niesubordynację, zwłaszcza ich oficerowie. Nie, żeby jeden czy drugi z atamanów nie potrafił za nieposłuszeństwo posłać któregoś z własnych ludzi na sznur. Jednak Qa byli w tym względzie znacznie bardziej stanowczy i spięta z żadnymi łupów stepowcami bywały częste, a niemal zawsze zakończone nie po myśli tych ostatnich.

Sabatuu przerwał swoje rozmyślenia i oderwał wzrok od płasającego ognia. Jako ataman, miał wstęp do tych części obozu, gdzie próżno było szukać szeregowych samnijczyków. Wraz z paroma zapołudniowymi oficerami i tymi podejrzanymi typami od Imperium, czekał właśnie na dyrektywy odnoszące się do działań ich skrzydła podczas kolejnego dnia. Wiedział, że kroki ich wodzów były w tej wojnie nadzwyczaj zmyślne, wielu z nich nie rozumiał, lecz przynosiły tak zadziwiające efekty, że dawno już nauczył się realizować je bez cienia zastanowienia. Cekał więc w ciszy, przysłuchując się rozmowie pomiędzy jego towarzyszami. Jeden z młodszych Imperialistów był ewidentnie podniecony bezpośrednim zetknięciem z Qa i choć próbował szeptać, każde jego słowo było doskonale czytelne.

- Ale jak to jest możliwe? W jednej chwili odzyskać pamięć całego dorobku swych przodków, całą swoją kulturę... Czy to nie było przytłaczające?

- Tego, o co pytasz, nie można oddać w żadnym z języków północy. To doświadczenie unikalne dla naszego ludu, ono dało nam dawno zapomniane imię, ono dało nam także cel, dla którego realizacji tu jesteśmy...

- Lecz mimo to spróbuj, na pewno są określenia które choć trochę uchylą mi rąbek tajemnicy... - naciskał młodzieniec. Rozmawiający z nim, tęgi Qa w tradycyjnym dla nich złotoniebieskim pióropuszu zamyślił się na chwilę, po czym podjął

- Jak świętowałeś ostatnią rocznicę swych urodzin, chłopcze?

- Niezbyt hucznie... - odpowiedział imperialista, ewidentnie zbity z tropu.

- To nie ważne. Właśnie poczułeś namiastkę tego, co poczuł cały nasz lud w dniu Przypomnienia. Twój umysł wypełniło wspomnienie, którego przed chwilą tam nie było. Wiesz, że należy ono do ciebie, jest częścią twojej historii, lecz jednocześnie przez długi czas nie było w twojej głowie nawet namiastki tego wspomnienia, aż pojawił się impuls woli, który je wywołał. My taki impuls zawdzięczamy maiput Neyestecae - zapołudniowy dostojnik skończył i skrzyżował ręce na piersi, dając całym sobą do zrozumienia, że już dość słów wypowiedziano w tym temacie i jeśli młodzian wciąż nie potrafi sobie tego wyobrazić, to tylko udowodnił jak bardzo bezsensownym było o to pytać.

W tym właśnie momencie płachty dowódczego namiotu rozwarły się, ukazując zwierzchników lewego skrzydła. A zatem, postanowiono.



*Bitewny duchu, za tobą leci czterdzieści strzał..!  
Sześćdziesiąt strzał masz w swoim kołczanie..!  
Ty hasasz w bitewnym zgiełku,  
i za nic masz szeptu naszych żon..!  
Za kim się skryjesz, tego sięgnie twój prześladowca  
zabójczy grot..!  
o, Bitewny Duchu, za którym leci czterdzieści strzał...*

Przyczółki przy fortecy wroga, desperacko bronione, padły. Padła mała twierdza, zwana kontrfortem, która blokowała podejście pod stoki głównej fortecy. Nie był to jednak bój, o jakim śpiewać będzie nasze potomstwo. Przyszło nam zejść z koni i pozostawić je za sobą, by wspinać się po stoku góry ku kamiennym obwarowaniom. Wielu naszych tam poległo, twierdze zaś otacza las nieprzenikniony i nikczemny, wielu z nas słusznie martwi się, że umarli nigdy nie przedrą się przez jego konary, że nigdy nie odnajdą drogi do domu przodków. Szamani mają coś na to zaradzić... Wróg jest złamany, choć wciąż broni się w głównej fortecy, wie już, że nie ma szans na zwycięstwo. Forteca pluje ogniem, setki wojowników Qa poległo na jej stokach potworną śmiercią w płomieniach. Obrońcy raz po raz czynią wyprawy na nasze obozy, uderzając nocą, precyzyjnie i krwawo. W lasach niesposób polować, ani choćby przemieszczać oddziałów, skryci wśród drzew miejscowi szyją z luków, atakują i uciekają, nim zdążymy zareagować.

Tam, na górze, jeden z tryntyjskich przywódców podobno oddał się w ręce Qa. Inni wybrali śmierć. Czemu?

Czemu woleli polec, choć jasne okazało się, że to o co walczyli, jest już stracone? Szamani szepczą między sobą. Szepczą, że coś się stało. Że tam, gdzie się bronili, ktoś wszedł na Wyższą Gałąź. Możliwe, że ktoś z obrońców. Możliwe, że w ten sposób chciał uniknąć losu pozostałych. Szamani tak nie sądzą. Oni coś przeczuwają i szepczą, ciągle szepczą.

Qa oznaczają pobitych symbolami swoich Duchów Opiekuńczych, po czym puszczają ich wolno, niektórych nawet pod bronią. My wolimy solidny, konopny sznur ale cóż, ich jasyr, ich sprawa. Co będzie dalej? Wrócą do swoich wiosek, odbudują je. Wypuszczą na górskie łąki swoje stada i zaczną znów gromadzić swoje bogactwa. Komu będą płacić trybut z ziem, które zdobyliśmy? Czy prócz łupów, które ozdobią ściany jurt i namiotów, prócz niewolników, którzy wybudują na stepie pałace równe urodą Samarkandzie, czy cokolwiek trwalszego dla Samnii wyniknie z tej wojny? Czy też jej efekty znikną jak krew, która wsiąka w ziemię, jak sława, która przebrzmi w pieśniach i rozplynie się w niepamięci. Czy idąc na wyprawy do złotego Pethabanu i miast Ofiru wciąż będziemy się oglądać w tył, czy nie słysząc bojowych rogów i dźwięku dud na stokach gór, zwiastującego odwetową wyprawę?

Zima, tak, już bliżej niż dalej. Lato się kończy, musimy zdążyć ich pobić nim przyjdą chłody, a śniegi zawałą przełęcz. Dla nas to nic, ale nie wiem jak Qa znieśliby mrozy północy. Nawet oni muszą mieć jakąś słabość...

Ludzie przebąkują, że na południu zaczęły się problemy, że w lasach Terali coś się dzieje, że Qa muszą zakończyć sprawę na Wysokich Ziemiach jak najszybciej...

Ale, to nie ważne, jestem przemęczony, może ming-bej da nam w końcu porządnie się wyspać. Nie, cholera, on też ciągle rozmawia z szamanami...

...a szamani szepczą... tak...

...ciągle szepczą.